

ROZMOWA SIÓDMA

- W naszej ostatniej rozmowie proponuję poruszyć temat ogólnej sytuacji w Polsce. Zbliży się koniec 1996 r. W przyszłym roku odbędą się w kraju wybory do Zgromadzenia Narodowego. Według prognoz rządząca koalicja lewicowa może je przegrać.

Czy w przypadku sprawdzenia się tych prognoz spodziewa się Pan jakichś zasadniczych przemian w kraju?

- Nie wiem czy wybory w Polsce będą izolowanym zjawiskiem, gdyż ostatnie wybory parlamentarne i prezydenckie w kilku krajach Europy Środkowej i Wschodniej, a konkretnie w Albanii, Bułgarii, na Litwie, w Republice Czeskiej, Rumunii, Słowenii oraz w Serbii i Czarnogórze, czyli w „nowej Jugosławii” dały dość mieszany obraz sytuacji, choć mogą być jakąś wskazówką tego, co będzie w Polsce. Ogólnie, poza Jugosławią, gdzie co prawda dopuszczono się sfałszowania wyników, lewica wypadła w nich gorzej niż w przeszłości. Nie oznacza to jednak, że zwycięska opozycja ma szansę na skonsolidowanie swojego triumfu. W Bułgarii i na Litwie bowiem, lewica nadal nie została całkowicie odsunięta od władzy. W Bułgarii parlament i rząd, gdyż wybierano tam jedynie prezydenta, jest nadal w rękach lewicy, podczas gdy nowy prezydent reprezentuje też lewicę, choć tzw. socjaldemokratyczną. Na Litwie z kolei, gdzie wybierano jedynie parlament, prezydent pozostał i nadal reprezentuje lewicę.

W Republice Czeskiej sytuacja jest nieco zagmatwana i choć szeroko pojęta lewica, gdyż są tam dwie lewice, zrobiła krok do przodu, to jednakże władzy nie zdobyła. W Rumunii, mimo że rządząca lewica przegrała zarówno wybory parlamentarne jak i prezydenckie, to z drugiej strony zwycięska opozycja jest bardzo rozproszona, zróżnicowana ideologicznie i politycznie, co może uniemożliwić jej utrzymanie się u władzy.

Czy trend zaobserwowany w większości wspomnianych krajów powtórzy się także w Polsce — nie jestem pewien. Myślę jednak, że porażki rządzącej koalicji SLD-PSL nie należy wykluczać, zwłaszcza w przypadku jej rozpadu przed wyborami, rzecz możliwa, ale nie absolutnie pewna. PSL bowiem trzyma się SLD jak może, choć ciągle straszy, że następnym razem pójdzie własną drogą.

- Myśli Pan, iż w przypadku rozpadu koalicji SLD-PSL mogłaby powstać koalicja SLD-UW?

- Taka możliwość nie jest wykluczona, ale nie wiem czy tak istotnie będzie.

Natomiast niepokojące jest co innego. Już dziś jest chyba pewne, że ewentualnie zwycięska opozycja będzie od początku podzielona. Przy lewicowym prezydencie, który może rozwiązać parlament pod jakimś pretekstem i zarządzić przedterminowe wybory, wczorajsi zwycięzcy mogą wtedy ponieść porażkę.

Z drugiej strony nie wykluczam, że lewica wygra wybory. W kraju bowiem nastąpiła ostatnio wyraźna poprawa w dochodach bieżących ludności. W dłuższym okresie czasu może to być zabójcze dla gospodarki, ale w krótkim okresie może pójść na konto osiągnięć rządzącej koalicji i wpłynąć na wynik wyborów.

Zresztą, opierając się o doświadczenia niedalekiej przeszłości, nie przywiązuję zbyt wielkiej wagi do wyborów w Polsce, jak i wszędzie indziej w świecie.

- **Dlaczego? Skąd ten pesymizm?**

- To nie pesymizm, ale pewne niepokojące przemiany w całym świecie, które obserwuje się już od lat.

- **O jakich przemianach Pan mówi?**

- Chodzi o ogólnoswiatową dekonjunkturę, którą przeżywają wszystkie partie polityczne w świecie. Partie polityczne przeżywają kryzys, ale nie ich przywódcy, czy w ogóle poszczególni politycy, albo raczej demagodzy. Dla tych, zwłaszcza w przypadku kandydatów na urząd prezydencki, koniunktura nawet wzrasta. Obserwatorzy tego trendu uważają, że zjawisko wynika z utrwalającej się w świecie „telewizyjnej kultury politycznej”, która zaczyna dominować w „politycznym życiu” człowieka. Przeciętny Amerykanin na przykład, spędza ok. sześciu godzin dziennie przed telewizorem i z jego ekranu i fonii czerpie głównie wiedzę o własnym kraju i świecie. O programach partii politycznych w telewizji mówi się bardzo mało, w zamian poszczególni politycy, kandydaci na prezydenta w pierwszym rzędzie, mają nieznanne dawniej pole do popisu. Co prawda już radio i kronika filmowa otworzyły im w niedalekiej przeszłości drogę do wyborców jak nigdy dotąd w historii, czego dowodem był triumf wyborczy Hitlera, który zahipnotyzował w ten sposób licznych słuchaczy i widzów. Ale dopiero telewizja dała im niespotykaną szansę takiego hipnotyzowania potencjalnych wyborców. Nie było przypadkiem, że w USA wybory prezydenckie wygrał zawodowy aktor, Ronald Reagan. Ludzie nie słuchają co kto mówi, tylko patrzą jak to mówi, jak wygląda, a nawet jak wygląda jego żona i dzieci.

Co gorsza, w telewizji, ze względu na konieczność najkrótszego wyrażania swoich propozycji i myśli, tradycyjna polityka została sprowadzona do haseł, przede wszystkim negatywnych. Konkretnie mówiąc, mniej ważne jest co polityk ma

wyborcom do zaproponowania, a znacznie ważniejsze jest jak „dokłada” przeciwnikowi. Nie dyskusja polityczna liczy się dziś najbardziej, a przysłowiowe chlapanie błotem. Nikt właściwie nie wie jakie programy mają kandydaci na najwyższe urzędy i partie polityczne, ale wszyscy wiedzą jaki krawat ma polityk, jakie robi miny i jak gestykułuje, jak „dziabię” przeciwnika, z kim się ścisła w czasie wiecej i ile kolorowych baloników wypuszcza się przy tej okazji.

- **Tak, to prawda. Amerykańskie wybory, prezydenckie zwłaszcza, stają się coraz bardziej odpustowym widowiskiem. O rywalizujących między sobą partiach mało kto wie, a wielka polityka uległa już całkowitej personalizacji.**

Ale może tak właśnie musi być?

- Prawdopodobnie ma Pan rację, gdyż nie widać sposobów zaradzenia tej sytuacji. Jednakże martwi i niepokoi co innego. Widowiskowy charakter kampanii politycznych ma to do siebie, że ludzi na urzędy wybiera się wcale nie najlepszych, a ostatnio nawet coraz gorszych. Mądrzy i uczciwi ludzie zaczynają stronić od polityki. A tymczasem technika audiowizualnego wpływania na potencjalnych wyborców zaszła tak daleko, że polityk-kandydat wcale nie mówi tego co sam chciałby powiedzieć, ale mówi tylko to, co mu radzą fachowcy od psychologii tłumy. Rezultat tego jest zaś taki, że często ważne sprawy, nawet bezpośrednio dotyczące takiego polityka-kandydata, mogą być przez niego przemilczane, a jego konkurent też ich nie podniesie z obawy przed negatywną reakcją wyborców, w rezultacie czego nie wiadomo o co adwersarzom chodzi. Debaty telewizyjne Clinton-Dole, w dodatku „ustawiane” przez jednego tylko „moderatora”, Jima Lehrera, były smutnym widowiskiem.

W każdym razie, demokracja we współczesnym świecie znalazła się w ślepych zaułku i to głównie dzięki telewizji. W Polsce telewizja również wkroczyła do polityki i stąd płyną różnorakie konsekwencje. Kwaśniewski wygrał, gdyż był bardziej telegeniczny od Wałęsy...

- **Miał też zdyscyplinowane SLD za sobą, a nade wszystko bardzo silną partię, SdRP Socjaldemokrację Rzeczypospolitej. Może więc w Polsce partie i ruchy polityczne jeszcze nie przeżyły się?**

- Najprawdopodobniej w Polsce jeszcze nie przeżyły się, gdyż demokracja dopiero raczkuje, wywołuje więcej pasji i jest mniej cyniczna niż w USA i gdzieindziej w świecie zachodnim.

Zresztą, co do kwestii przeżycia się lub nie partii i ruchów politycznych, to oczywiście sprawy nie wolno absolutyzować. Partie i ruchy są bowiem ciągle jeszcze głównym dostawcą, a raczej punktem zbornym funduszy wyborczych.

A pieniądź w polityce to rzecz główna, albo prawie główna. Partie, które stoją finansowo najlepiej, mają największe szanse przepchnięcia swoich kandydatów do najwyższych stanowisk. W Polsce, gdzie liczą się właściwie tylko dwie partie polityczne, SdRP, siła przewodnia koalicji SLD, Sojuszu Lewicy Demokratycznej, oraz PSL, Polskie Stronnictwo Ludowe, scena polityczna jest z tego właśnie powodu niezmiernie uboga, mimo mnogości partii.

- Prawica, niestety, jest finansowo uboga. Ale pnie się w górę i zapewne szłoby jej jeszcze lepiej, gdyby mogła zjednoczyć się.

Jak Pan myśli, dlaczego prawica nie może zjednoczyć się w siłę zdolną przeciwstawić się lewicy?

- Myślę, że jest to w znacznym stopniu sprawą tradycji, choć nie tylko. W przedwojennej Polsce, która może służyć za przykład, prawica przed 1926 r., gdyż potem scena polityczna stała się anormalną, była co prawda główną siłą polityczną, ale większości wyborców za sobą nie miała, nie mówiąc już o tym, że była wewnętrznie podzielona.

W ogóle zaś, to w dzisiejszej Polsce, choć nie tylko, granica pomiędzy lewicą a prawicą poważnie zatarta się. W Polsce lewica rządząca, zwłaszcza SdRP, ze względu na swój „nomenklaturowy” charakter, nie jest właściwie typową lewicą, która w świecie tradycyjnie reprezentowała „szarego człowieka”. Przeciwnie, jest ona faktycznie „konserwatywną prawicą”, siłą zachowawczą, mającą bardzo niewiele wspólnego z „szarym człowiekiem”.

Dla odmiany niektóre odłamy prawicy, „prawicy społecznej” zwłaszcza, ze względu na swój populizm, są faktycznie autentyczną lewicą, jeśli nie polityczno-ideologiczną, to z pewnością społeczną.

Między tymi dwoma biegunami balansuje szereg innych partii i ruchów, m. in. PSL, które światopoglądowo i politycznie jest wewnętrznie rozbite, ale łączy go określona i niezbyt typowa dla innych partii i ruchów „wspólnota interesów”, chłopskich głównie, ale nie tylko.

Powracając jednak do głównego tematu, wiek ideologii, przynajmniej narazie, minął. Wynika to m. in. i stąd, że moda, narodzona jeszcze w ubiegłym stuleciu, na tzw. samozbawienie poprzez społeczeństwo, a konkretnie państwo, partie polityczne, ruchy masowe ideologie itp., przemija bezpowrotnie. Komunizm, socjalizm, faszyzm, nazizm, „państwo dobrobytu”, „nowe łądy” itp., nic już nie rozwiązują. Dezintegracji podlegają też różne „wspólnoty interesów”, aczkolwiek te trzymają się miejscami jeszcze dobrze. Jednocześnie, pomijając niektóre kraje muzul-

mańskie, słabnie również tzw. zbawienie poprzez siły nadprzyrodzone, czyli religie.

Tak czy inaczej, we współczesnym świecie powstaje coraz bardziej niebezpieczna próżnia, pustka, która nie wiadomo czym będzie wypełniona...

- Co jest tego główną przyczyną, czyżby tylko telewizja?

- Nie, nie tylko telewizja, choć i ona jest rezultatem burzliwego postępu naukowo-technicznego.

Przyczyną główną jest zmiana pojęcia wartości. Jeszcze do niedawna, czy to kapitalizm, czy komunizm, czy wszystkie wielkie religie, za największą wartość, jeśli chodzi o materialny byt człowieka, uważały pracę. Powiedzenie „módl się i pracuj” oddawało najlepiej takie właśnie podejście do wartości.

Dziś praca zwłaszcza fizyczna została zdegradowana jako kategoria wartości ludzkich. Jej miejsce zajęła szeroko pojęta wiedza. Nie „społeczeństwo pracujące” jest dziś ideałem, ale „społeczeństwo wiedzy”, „społeczeństwo informatyczne”.

Nic dziwnego więc, że w rezultacie tego powstało zamieszanie na linii lewica-prawica, z niewyraźnym i zmiennym centrum płaczącym się pomiędzy nimi. Ciągłe bowiem nie wiadomo czym naprawdę będzie lewica i prawica w „społeczeństwie informatycznym”, w „społeczeństwie wiedzy”. W „społeczeństwie pracującym” łatwiej było wykreślić granice oddzielające lewicę od prawicy i odwrotnie. Nawet jeśli oba kierunki uznawały pracę jako wartości nadrzędną, to mogły się spierać o podział owoców pracy, autonomię, czy nawet organizację pracy.

Jak jednakże wykreślić granice pomiędzy „wiedzą lewicową” i „wiedzą prawicową”, albo co gorsza „lewicową informatyką” i „prawicową informatyką”? Wiedza i informatyka są tylko wiedzą i informatyką, czyli ideologicznie i politycznie są obojętne.

- Tak, ciekawe to wszystko, ale ciągle nie odpowiada Pan na pytanie, dlaczego dziś, gdyż jutro może być inaczej, prawica polska nie może zjednoczyć się?

- Częściowo już na pytanie odpowiedziałem, powołując się na tradycje polskie. W dodatku, prawica polska, nie tak jak lewica, przynajmniej ta komunistyczna, całymi dziesiątkami lat nie miała warunków nie tylko na normalny rozwój, ale rozwój w ogóle. Dziś musi te zaległości szybko odrabiać, a nie jest to takie łatwe. Myślę także, że rozbitcie prawicy ma przynajmniej dwie podstawowe przyczyny:

- brak jasno zdefiniowanej ideologii i programu politycznego; spory personalne, które są zapewne podsycane

przez służby specjalne, nie tylko rodzime, ale także obce, moskiewskie przede wszystkim.

Nie należy też zapominać, że społeczeństwo polskie jest ciągle jeszcze społeczeństwem niezamożnym, o nielicznej klasie średniej, co siłą rzeczy zmuszać będzie prawicę do „ludowego”, albo inaczej — populistycznego programu ideologiczno-politycznego.

- Co Pańskim zdaniem powinno być treścią ideologii prawicowej w Polsce?

- Zacznę może od tego, co nie powinno być jej treścią. Myślę, że treścią współczesnej prawicowej ideologii nie może być konserwatyzm, choć tradycyjnie tak to zawsze było. Innymi słowy mówiąc, prawica nie może gloryfikować wybujałego indywidualizmu, idealizować własność prywatną, drastycznie ograniczać rolę państwa, trzymać się niewolniczo niektórych tradycji narodowych, które stają w poprzek postępowi, zwłaszcza nauce, a nade wszystko musi zastanowić się nad swoim stosunkiem do religii. Za przykład tego może posłużyć sprawa regulacji urodzin, która jest bez wątpienia olbrzymim problemem moralnym, obyczajowym, społecznym i religijnym, ale nie może być problemem ideologiczno-politycznym, zwłaszcza przybierającym postać prawa karnego.

- Poruszył Pan problem stosunku określenia się prawicy w stosunku do religii, co w przypadku Polski oznacza stosunek do Kościoła katolickiego.

Co konkretnie ma Pan na myśli?

- Prawica, tak myślę, podobnie jak każda inna siła polityczna, powinna w swojej naturze być siłą świecką, a w każdym razie tak powinno być w kręgu cywilizacyjnym, do którego Polska należy. W kręgu tym, aczkolwiek u jego podstawy leżą wartości chrześcijańskie, rozdział państwa od kościoła dokonał się już dość dawno.

Co więcej, w konkretnej polskiej sytuacji, jeśli miałyby być inaczej, natychmiast wystąpią różne niebezpieczne przebiegi. Hierarchia kościelna, chcąc nie chcąc, w przypadku zbytznego identyfikowania się prawicy z kościołem, sama może stać się de facto partią polityczną. Partia nowoczesna z kolei, a taką powinna być partia prawicowa, nie może więc szukać natchnienia w żadnym Piśmie Świętym, czy to chrześcijańskim, muzułmańskim, judaistycznym, czy jakimkolwiek innym, jeśli nie chce stać się partią klerykalną. Zresztą, sądząc z wypowiedzi biskupa Tadeusza Pieronka, nie chce tego także sam Kościół, gdyż wciąganie się do bieżących spraw polityczno-państwowych jest szkodliwe dla jego misyjnej roli w społeczeństwie.

- Co w takim razie ze społeczną nauką Kościoła, na którą powołuje się prawica polska, a nawet „Solidarność”?

- Jeszcze za wcześniej na odpowiedź na Pańskie pytanie. „Nauka społeczna” Kościoła jest narazie, w najlepszym wypadku, w powijakach i nie jestem pewien jak będzie dalej ewoluować.

- A czy w b. Niemczech Zachodnich „cud gospodarczy” nie był bezpośrednim rezultatem właśnie „społecznej nauki” Kościoła?

- O tej sprawie mówiliśmy już częściowo przed trzema laty. Istotnie, idee „solidaryzmu narodowego” w b. Niemczech Zachodnich, oparte o zasady chrześcijańskie, które w program działania zamienili kanclerz Erhard i prof. Armack-Mueller, a chrześcijańskie partie CDU-CSU uznały za swój program, są znanym przykładem budowy konserwatywno-prawicowego „państwa opiekuńczego”, obok modnych wówczas lewicowych „państw opiekuńczych”. Warto jednak dodać, że państwo opiekuńcze na Zachodzie, zarówno to lewicowe, jak i to prawicowe, wali się dziś na całej linii, w Niemczech chyba bardziej, niż gdzie indziej...

- Nie zaprzeczy Pan jednak, że „nauka społeczna” Kościoła, która tak dobitny wyraz znalazła w Encyklice Jana Pawła II „Sollicitudo Rei Socialis” w 1988r., choć to jeszcze nie wszystko, jest czymś więcej niż „nauką w powijakach”?

- Znów przypomnę, że o tej sprawie mówiliśmy już częściowo przed trzema laty, kiedy wspominałem o ciekawych próbach Kościoła poszukiwania „trzeciej drogi”, pośredniego rozwiązania pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem. Nie znaczy to jednakże, że taką „trzecią drogę” Kościół znalazł, albo że znalazł ją ktokolwiek inny. Same zaś poszukiwania nie są jeszcze nauką. Nauka bowiem musi być w swoich założeniach empirycznie sprawdzalną, w dodatku w okresie dłuższym.

A co się tyczy „Sollicitudo Rei Socialis”, to wkrótce po jej ukazaniu się zabrało głos wielu wybitnych ekonomistów i socjologów. Proszę mi wierzyć, że do noblisty z dziedziny nauk ekonomicznych, Milтона Friedmana, nabożeństwa nie mam, ale jego zwięzły i w dyplomatycznym tonie wypowiedziany pogląd na temat omawianej encykliki papieskiej — brzmi dla mnie przekonująco.

Encyklika bowiem, aczkolwiek krytyczna wobec komunizmu i kapitalizmu, na co zwraca uwagę Friedman, unika rozwiązań własnych, a w każdym razie unika ich w sferze dających się przetłumaczyć na język praktycznych działań. Friedman, cytując z Encykliki stwierdzenie, że „...jest nie do

zaakceptowania teza, iż porażka „realnego socjalizmu” pozostawia kapitalizm jako jedyny model ekonomicznej organizacji”, słusznie zapytuje — a co innego wobec tego ma ona do zaproponowania?

I rzeczywiście, Encyklika na to pytanie nie odpowiada.

- Co nie oznacza, że „trzeciej drogi” nie ma, albo że Encyklika ma ją znaleźć. Nie zaprzecza Pan chyba istnieniu „nauki społecznej” Kościoła?

- Odnosnie „trzeciej drogi”, to choć Encyklika próbuje ją zarysować, to jednakże trudno powiedzieć, iż ją znalazła. Jej autor, Jan Paweł II, dokonując „trójsystemowego” podziału współczesnych społeczeństw rozwiniętych na polityczny, ekonomiczny i moralno-kulturalny, zrobił co najwyżej pierwszy krok w tym kierunku. W dziedzinie „systemu moralno-kulturalnego” Encyklika ma sporo ciekawych spostrzeżeń, ale jest on tylko jednym z trzech i choć wyodrębniony, to jednakże jest uzależniony od następnych dwóch i w tym cały problem.

W ogóle, to nikt we współczesnym świecie „wielkiej polityki” i „wielkiej ekonomii” nie zwraca, niestety, uwagi na to co mówią papieże... Ani wielki biznes i wielka finansjera, ani rządy i parlamenty liczących się państw w świecie, ani żadne organizacje międzynarodowe, nie przejęły się Encykliką, ani nikt jej w tych kręgach nawet poważnie nie dyskutował.

Co gorsza, w ekonomii, czyli w gospodarce, nie mówią już o polityce, wszystko dosłownie idzie w przeciwnym kierunku, niż nawołuje do tego Encyklika. Tak jest nawet w Niemczech, choć u władzy jest tam nadal CDU-CSU.

- Nie przekonaj mnie Pan. Uważam, że „nauka społeczna” Kościoła istnieje i dobrze, że w Polsce są siły polityczne, które biorą ją za drogowskaz swojego działania.

- No cóż, pozostaniemy wobec tego przy swoich stanowiskach. Nie przeczę, że dalszy rozwój dziejów ludzkich może przynajmniej Panu rację, ale w tej chwili sprawy tak jeszcze nie wyglądają.

- A więc pozostaniemy przy swoich stanowiskach.

Co wobec tego co uważa Pan za prawidłową ideologię prawicy polskiej?

- Prawdę mówiąc, nigdy nad tym nie zastanawiałem się, gdyż żadnym działaczem politycznym ani polskim ani amerykańskim, nie jestem i nie zamierzam być. Ponadto uważam, tak jak przed chwilą wspominałem, że era ideologii minęła, a w każdym razie nie szybko odrodzi się.

- A moralna strona działalności ludzkiej, pod nieobecność ideologii, a nade wszystko religii, może być zagwarantowana przez naukę?

- Nie, też nie może, a w każdym razie nie musi być. Wielki filozof niemiecki, Immanuel Kant, zakwestionował bowiem istnienie „absolutnej moralności”, norm moralnych w ogóle. Normy te, jak wiadomo, lansowane są przez różne ideologie i różne religie, każda zresztą na swój sposób. W przypadku ideologii komunistycznej normy te nosiły formę nakazów „ludu pracującego”, w nazistowskiej „wyższej rasy”, a w religiach „siły wyższej”. Kant twierdził natomiast, że normy moralne, to nic innego jak wyobrażenia jednego człowieka o moralnym postępowaniu drugiego człowieka. Proszę zauważyć — wyobrażenia dotyczą nie własnego postępowania, tylko drugiego człowieka!

Ważne jest więc, kto konkretnie i co sobie wyobraża. Jeśli taki osobnik ma możliwości wprowadzenia w życie swoich wyobrażeń, to jest to początek powstawania określonych norm moralnych, a także prawa. Kodeks Hammurabiego, czy Kodeks Napoleona, nie były przypadkiem. To przecież jedni ludzie narzucają innym ludziom „normy moralne”, „normy prawne”, które następnie ulegają ciągłej ewolucji, a więc są to „normy historyczne”, z początkiem i końcem. Nie należy też zapominać, że istnieje coś takiego jak naukowo „uświadomiona konieczność” określonych zachowań ludzkich. Konkretnym dowodem tego jest stwierdzenie przez naukę, że palenie tytoniu jest szkodliwe nie tylko dla palacza, ale także dla niepalących. Siłą rzeczy stwierdzenie takie prowadzi nie tylko do określonych norm prawnych, ale nawet zaczyna przybierać charakter norm moralnych, „dobrego wychowania”, „umiejętności współżycia”, itp.

Nauka więc będzie z czasem mieć coraz większe szanse trafiania ludziom do przekonania, zwłaszcza elitom rządzącym, a tym samym może kiedyś zastąpić religię w jej „moralnotwórczej” misji.

Zresztą, doświadczenia historyczne wykazują przecież, że nawet w przypadku kierowania się zasadami religijnymi — moralna strona działalności ludzkiej pozostawiała zawsze bardzo wiele do życzenia.

- Co wobec tego w partii prawicowej powinno być ideologiczną treścią jej działania?

- Sprawy narodowe. Specjalnością lewicy był bowiem „internacjonalizm”, ponadnarodowość, podczas gdy prawica musi skupić się na sprawach autentycznie narodowych. Przedtem jednak partia taka, jeśli chce uniknąć improwizowania swojej działalności, powinna mieć jasno określoną „polską ideę narodową”.

- Na ten temat pisał Pan przed kilkoma miesiącami na łamach „Dziennika Chicagowskiego/Nowojorskiego”. Czy może Pan przypomnieć pokrótce co Pan przez nią rozumie?

- Mówiąc najkrócej, rozumiem przez nią szeroko pojęty „solidaryzm narodowy”, szukanie maksymalnie szerokiego, wspólnego mianownika dla łączenia, a nie dzielenia, wszystkich Polaków. W świetle zagrożeń zewnętrznych, jak też licznych wyzwań wewnętrznych, Polaków po prostu nie stać na luksus „darcia kotów” między sobą. Muszą sobie zdać sprawę z tego, że ich „twierdzą ma być każdy próg”, powtarzam — każdy! Liczy się tylko to, co jest korzystne dla narodu polskiego jako całości, a nie tylko dla jednostki, czy poszczególnych grup i warstw.

„Solidaryzm narodowy” nie jest zresztą moim wymysłem, ja tylko o nim przypominam.

- **Mimo wszystko, pachnie to jednak lewicą, gdyż przebija się tutaj kolektywizm, ulubione jej dzieci...**

- W pewnym sensie tak. Kolektywizm jednakże, to nie monopol tylko lewicy. Problem „lewicowego kolektywizmu”, tego komunistycznego, choć daleko nie wszędzie, polegał na tym, że pod „naród” podstawiono „klasę robotniczą”, która niby miała uszczęśliwiać poprzez rewolucję socjalistyczną. Innymi słowy mówiąc, był to „kolektywizm klasowy”, „proletariacki”, przy okazji „internacjonalistyczny”, choć bardziej w słowach niż czynach.

Proszę jednak nie zapominać, że jeśli prawica ma zjednoczyć naród wokół siebie, który w ostatnich wyborach prezydenckich, licząc tylko głosujących, wybrał kandydata lewicy, to obowiązkiem prawicy jest szukanie rozwiązań będących syntezą, podkreślam — syntezą jej własnych i lewicowych poglądów. Do takiego wyborcy prawica musi trafić. Uczynić to może albo przy pomocy diametralnie odmiennych od lewicy haseł, albo haseł zbliżonych do jej własnych, zarówno w treści jak i w formie. Inaczej, wcześniej czy później, Polsce grozi jeśli nie wojna domowa, to jakaś odmiana totalitaryzmu, dyktatury jednostki, czy jakiejś grupy „wspólnych interesów” zwołanej się partią. Rzecz jasna, spoza takich rządów, mniej lub bardziej widocznie, zacznie wyzierać obca dominacja.

Zresztą prawica polska sama chyba nie bardzo wie, że już w znacznym stopniu dokonała takiej syntezy. Fakt bowiem, że zarobiła sobie przydomek „populistycznej” — jest przecież niczym innym jak „społeczną lewicą”.

- **Jeśli tak, to jaki jest sens odsuwania lewicy od władzy? Czy nie prościej byłoby dla prawicy porozumieć się z lewicą w ramach jakiejś „szerokiej koalicji”?**

- Coś takiego byłoby zapewne możliwe, gdyby nie pewne zaszczości historyczne i rodowód polskiej lewicy rządzącej. Aczkolwiek powojenna lewica polska była i nadal jest potężna, to przyczyn tego należy doszukiwać się przede wszystkim w satelickim wobec ZSRR charakterze Państwa Polskiego, jakim

była PRL. Stąd też pójście przez polską prawicę na koalicję z rządzącą lewicą równałoby się jej samobójstwu. Rosyjska lewica i prawica mogą łączyć się w różne koalicje, gdyż obie były i są narodowo suwerenne. W polskiej sytuacji, niestety, tak nie jest. Obecna lewica rządząca ma bowiem „satelicki rodowód”, choć z drugiej strony nie jestem pewien, czy nie ma go także prawica...

- **Wobec tego jak konkretnie ma nastąpić owa fuzja?**

- Prawica, zakładając jej wewnętrzne zjednoczenie, nie mówiąc już o jej wyborczym zwycięstwie, powinna ogłosić „szeroką amnestię” i tym samym stworzyć swoje szeregi dla lewicy, nie dla całej oczywiście, ale dla jej znakomitej większości. Sprawą do ustalenia może być tylko problem dopuszczenia jej do stanowisk kierowniczych w partii prawicowej. Przy pragmatycznym jednak podejściu nie powinno to nastęrczać większych trudności.

Powiem Panu coś więcej — gdyby do tego istotnie doszło, to bardzo szybko ujawniliby się prawdziwi przyjaciele Polski na zewnątrz, jak też „sprawy polskiej” wewnątrz kraju.

Realnie podchodząc jednak do sprawy, coś takiego jest mało prawdopodobne. Nawet bowiem pod nieobecność ingerencji zewnętrznej w proces integrowania się Narodu Polskiego, wewnętrzne kłótnie i konflikty mogą proces taki zniweczyć w zarodku. Po obu stronach, niestety, zwłaszcza prawicowej, brak jest odpowiednich elit, które chciałyby i umiałyby „podać sobie rękę ponad podziałami”. Lewica dlatego, że faktycznie podporządkowana jest Moskwie, która nie chce żadnej jedności Polaków. Przy braku ich jedności łatwiej bowiem może sprawować rządy nad nimi. W konsekwencji tego, lewica też nie chce żadnej jedności narodowej. Prawica z kolei, szczególnie jej elita, jest ciągle jeszcze bardzo słabo zarysowana w Polsce, a w dodatku daleka od jedności poglądów w swoich własnych szeregach. Nie wykluczam, że jest to także wynik spenetrowania jej przez krajowe i obce, moskiewskie głównie, służby specjalne, które nią manipulują.

- **Co w takim razie należy zrobić, żeby zmienić ten stan rzeczy?**

- Zakładając przezwyciężenie rozbitcia wewnętrznego prawicy, jak też zorganizowanie się jej w siłę w pełni świadomą swojej misji i celów, pozostają jeszcze liczne „prozaiczne” problemy. Konkretnie mówiąc, prawica polska jest w fatalnej sytuacji finansowej, a współczesna „wielka polityka” bez dużych pieniędzy nie ma żadnych perspektyw, choćby ze względu na dostęp do telewizji, rzecz dziś wielce kosztowna.

Co więcej, prawica musiałaby mieć co najmniej 50

tysięcy wysoko wykwalifikowanych kadr, które w każdej chwili byłyby w stanie zająć stanowiska państwowe na szczeblu wyższym, a nawet średnim. Inaczej, nawet w przypadku wyborczego zwycięstwa, prawica może łatwo zaprzepaścić go po krótkim czasie.

- **Jak Pan widzi personalny skład elity prawicy?**

- Wolalbym uniknąć wymieniania nazwisk, ale faktem jest, biorąc za przykład ostatnie wybory prezydenckie i pomijając specyficzny casus Wałęsy, gdyż jego trudno umieścić na prawicy czy lewicy, czołowi działacze prawicy nie otrzymali nawet jednej dziesiątej oddanych głosów. Dziś może jest z tym lepiej, ale ciągle jeszcze nie za dobrze. W każdym ruchu politycznym i masowym są „wodzowie”, a z tymi w Polsce jest dziś nie najlepiej, na prawicy, na lewicy i w centrum.

Zresztą, w całym świecie panuje dziwna „posucha” na wybitne jednostki w sferze „wielkiej polityki” i w sferze sprawowania władzy. W Niemczech na przykład już mówi się, że następnym kanclerzem będzie znów Kohl. Jeśli byłaby to prawda, to Kohl byłby kanclerzem przez dwadzieścia lat, bijąc 19-letni rekord Bismarcka! I nie dlatego, że jest to kandydat na kanclerza najlepszy, albo lepszy od Bismarcka, ale że ciągle nie można znaleźć lepszego. Clinton w USA wygrał wybory po raz drugi, choć większość wyborców wcale nie była nim zachwycona, ale uważała, że i tak był lepszy od konkurenta. A właściwie, to tak uważały tylko kobiety, które wybrały go na prezydenta, choć one właśnie powinny mieć do niego najwięcej pretensji.

I takich przykładów jest więcej. W Polsce, gdzie względnie wolna gra sił politycznych jest zjawiskiem nowym, sprawy wyglądają jeszcze gorzej. W szczególnie trudnej sytuacji znalazła się właśnie prawica. Startowała od zera, bez pieniędzy, lokali, często bez jasnych programów, rozproszona, skłócona, a w dodatku, jak na polskie potrzeby, kadrowo bardzo nieliczna, nie mówiąc już kim naprawdę byli i są ludzie w jej szeregach...

- **Przerwę Panu w tym miejscu. Prawica jest jedyną siłą polityczną w Polsce, która zawsze konsekwentnie dążyła do lustracji, a więc poruszony przez Pana problem, w razie prawidłowego jej przebiegu, zostałby automatycznie rozwiązany.**

- Istotnie, ma Pan rację, prawica dążyła zawsze do lustracji, która w końcu ma być, choć akurat w wydaniu lewicowym.

A co z lustracji wyjdzie w praktyce—jeszcze zobaczymy. Osobiście myślę, że już jest na nią za późno. Ponadto, mniej chodzi o powiązania ludzi w przeszłości, a bardziej chodzi o teraźniejszość, zwłaszcza powiązania z obcymi służbami tajnymi,

czego żadna lustracja nie rozwiąże. Od tego jest kontrwywiad i sądy wojskowe.

Powracając zaś do przerwane go tematu, to nawet nie jestem specjalnie zdziwiony, że prawica polska cierpi na niedosyt elity, podczas gdy lewica ma ją dość liczną. W grę weszły bowiem uwarunkowania historyczne i dlatego takich zapóźnień nie da się łatwo i szybko odrobić, w dodatku w nie sprzyjającej sytuacji, na którą składa się brak prawicowej władzy.

- **Nazwisk nie chce Pan wymieniać, ale mimo wszystko zadam pytanie wprost: — Zygmunta Wrzodaka uważa Pan za członka elity prawicowej? A jeśli tak, to co Pan o nim myśli? Wie Pan chyba o tym, że niektórzy, jak choćby Gustaw Herling-Grudziński, krytykują ROP Olszewskiego za dopuszczenie Wrzodaka do swojej elity, który swoimi antysemitkami wystąpieniami „straszy” Zachód...**

- Wrzodak ma tak samo prawo głosić swoje poglądy, jak ma je Herling-Grudziński. Wrzodak nawet bardziej, gdyż jest na miejscu w kraju, podczas gdy Herling-Grudziński grzmi spoza Polski.

A co się tyczy poglądów Wrzodaka, to są one odbiciem określonych nastrojów w niektórych odłamach społeczeństwa, robotników zwłaszcza. Z poglądami zaś, bez względu na to na ile słusznymi, trzeba się liczyć w każdej demokracji. Wrzodaka wielu krytykuje, ale jakoś nikt rzeczowo z nim nie polemizuje. Jest to więc krytyka w swojej istocie ułomna.

Czy natomiast ROP Olszewskiego powinien Wrzodaka uważać za członka swojej elity, to jest to wyłącznie jego sprawa. Nie sądzę, że do mnie należy podpowiadanie mu co powinien robić.

- **Proszę Pana, założmy abstrakcyjnie, że znalazł się Pan na jakimś wiecu prawicowym. Co powiedziałby Pan wtedy swoim słuchaczom?**

- Wolalbym zaczynać nie od mówienia, a od działania. Najpierw musiałbym coś zdziałać, żeby ludzie chcieli mnie słuchać, a nade wszystko wierzyli w moje słowa. Piłsudski, jak Pan wie, bardzo długo nic nie mówił publicznie, ale natomiast działał, tworząc wokół siebie legendę. Gdy powrócił z twierdzy magdeburskiej do Warszawy, to nikomu nawet nie przyszło do głowy, żeby nie oddawać mu władzy, a przecież olbrzymia większość narodu ani go przedtem nie widziała na oczy, ani tym bardziej nie słyszała, gdyż radio ledwie było w powijkach. Mało też kto czytał Piłsudskiego.

A co powiedziałbym? Mowa moja byłaby z pewnością bardzo krótka. Wezwałbym słuchaczy do zabrania się do dzieła, sprecyzowanego w kilku zrozumiałych punktach. Słowem

musiałyby też towarzyszyć jakieś natychmiastowe i spektakularne czyny.

- **Jakie na przykład?**

- Nie powiem i niech mnie Pan nie ciągnie za język! Do kraju nie wybieram się, żadnych ambicji politycznych nie mam, nie mam żadnej grupy zwolenników, czy choćby najbliższych współpracowników, więc nie będę opowiadał Panu bajek!

- **A co by Pan powiedział na wiecu lewicowym?**

- Rozumiem, że mówi Pan o lewicy rządzącej, gdyż jest jeszcze lewica nie rządząca.

Lewica rządząca, to już „towarzystwo upadłościowe”, ale potężne jeszcze, remanent ze znanej przeszłości. Może w przyszłości powstanie prawdziwa lewica polska, z czasem nabierającą na sile, ale teraz jest ona tylko lewicą z nazwy. Jeśli więc nie chce zginąć zupełnie i chce być siłą godną uwagi, po tym jak jej pezetperowskie kadry zaczną się wykruszać, to musi uważać, żeby nie stać się partią faszystowską, albo wręcz narodowo-socjalistyczną, choć niekoniecznie o takich nazwach. W każdym razie, jeśli tak istotnie stałoby się, to taka lewica sprzątnie sprzed nosa klientelę prawicy...

- **Powracam jednak do pytania: — co powiedziałby Pan na lewicowym wiecu?**

- Chyba tylko to, że wielu uczciwych ludzi lewicy, a tacy byli, zostało oszukanych i że trzeba robić wszystko, żeby odzyskać to, co było w ruchu lewicowym zdrowym nurtem.

Niemniej jednak, wiele do powiedzenia nie miałbym. Nie mam bowiem jasności jak ma odrodzić się lewica, zrywając całkowicie z przeszłością. W momencie zaś, kiedy zacznie zrywać z nią selektywnie, istnieje niebezpieczeństwo recydywy.

- **Czy rzeczywiście lewicy grozi ześlizgnięcie się na pozycje faszyzmu i nazizmu?**

- Myślę, że tak, choć nie musi ześlizgnąć się dokładnie według znanych wzorców z przeszłości, ale treść ześlizgu będzie ta sama. Zerwanie z internacjonalizmem, który był główną siłą nośną „realnego socjalizmu”, choć co prawda bardziej w słowach niż czynach, musi lewicę zepchnąć wcześniej czy później w kierunku faszyzmu, czy nawet narodowego socjalizmu, w kierunku etnocentryczno-ludowym, rewolucyjno-populistycznym. Jeśli tak nie stanie się, to do tego samego dojdzie wcześniej czy później prawica.

- **Czyli wyścig z czasem dwóch niby przeciwnych, ale jednakże w sumie pokrewnych sobie nurtów?**

- Tak, absolutnie tak. Ratunkiem przed tego rodzaju biegiem wydarzeń jest umacnianie demokracji, ale z doświad-

czenia wiadomo, że nie jest ona gwarantem przed takim właśnie obrotem sprawy. Hitler doszedł przecież do władzy drogą wolnych wyborów. Stało się to możliwe, pomijając już znienawidzony przez Niemców porządek powersalski, z powodu znanej sytuacji gospodarczo-społecznej w kraju. Jeśli więc w Polsce sytuacja ta będzie podobnie zła, to historia może się powtórzyć. Nie zapominajmy też, że faszyzm i nazizm bardzo trudno zakwalifikować jednoznacznie do prawicy, lub lewicy. W pewnym sensie są one syntezą jednego i drugiego. Ich antykomunizm zyskał im miano prawicy, a tak naprawdę były one lewicą.

- **Przyznam szczerze, że nie bardzo Pana rozumiem. Z jednej strony mówi Pan o kryzysie partii politycznych, a z drugiej mówi Pan o jakichś pomyślnych perspektywach dla istnienia partii faszystowsko-socjalistycznych czy nazistowsko-komunistycznych.**

A więc jak w końcu jest z tym kryzysem?

- Jedno nie wyklucza drugiego. Pomiędzy partią typu demokratycznego, a partią typu totalitarnego, istnieją ogromne różnice. To są dwie różne partie, gdzie ta ostatnia nie jest nawet partią. RKP(b), WKP(b), a potem KPZR w ZSRR, czy „Fasci di combattimento” Mussoliniego, jak również NSDAP w Niemczech, najmniej były przecież partiami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Były to zdyscyplinowane na wzór wojskowy i zhierarchizowane grupy, często nawet liczne już przed zdobyciem władzy. Po zdobyciu jej grupy takie, nazywające się nadal partiami, stały się potrosze wszystkim, częścią aparatu państwowego, policją, wojskiem, mafią, „narodem w narodzie” i państwem w państwie”, a nade wszystko dodatkiem do „wodza”, Stalina, Mao, Hitlera czy Mussoliniego, faktycznie ich prywatną własnością.

Niestety, tego rodzaju „partie” jeszcze nie przeżyły się, aczkolwiek chwilowo są jakby w „strategicznym odwrocie” i tylko patrzeć jak kiedyś powrócą na scenę dziejową. Skoro bowiem jest zapotrzebowanie społeczne na różnych „wodzów”, „polityków-pojedynków”, to będzie także zapotrzebowanie na przykrojone do ich miary „partie” i inne ruchy masowe.

- **No tak, godne to zastanowienia. Może ma Pan rację, ale zobaczymy co przyniesie przyszłość. Wspomniał Pan jednak o sytuacji gospodarczej, która w Niemczech doprowadziła kiedyś Hitlera do władzy.**

Jak Pan widzi gospodarczą przyszłość Polski? Przed trzema laty mówił Pan, że lewica „zdyscyplinuje” gospodarkę, co istotnie sprawdziło się, ale trudno powiedzieć, że sytuacja ekonomiczno-społeczna kraju jest dobra, czyż nie tak?

- Dobra nie jest, ale jest lepsza, niż była za rządów „solidarnościowych”, choć pod ich koniec zaczęła się już poprawiać.

Odnosnie zaś obecnej sytuacji gospodarczej Polski, to jest lepiej, ale ciągle o wiele za mało jak na polskie potrzeby. Tempo 5-7-procentowe, w zależności od roku, o jakim mówimy, jest niezłe co prawda, ale nie zapominajmy, iż dopiero teraz osiągnany jest poziom produkcji z 1978 r. Ponadto, tempo to nie bardzo ma podstawy utrwalania się, nie mówiąc już o jego przyspieszaniu się.

W chwili obecnej ciągnie go przede wszystkim wzrost konsumpcji wewnętrznej, w znacznym stopniu na kredyt, co w dłuższym okresie czasu staje się niebezpieczne. Prawda, ciągną go ostatnio do przodu także inwestycje. Nie ciągnie go natomiast eksport, rzecz najbardziej pożądana w polskiej sytuacji. Podstawy rozwoju niszczy natomiast szybko rosnący import, pogłębiając niebezpiecznie sytuację w bilansie handlowym, a nawet płatniczym. Ujemny efekt tego zjawiska neutralizowany jest narazie napływem obcego kapitału prywatnego, ale z tym napływem różnie może być. Nie należy bowiem zapominać, że obcy kapitał jest dziś bardziej spekulacyjny, niż to było w przeszłości. No i żeby tylko „nie wykręcił” on kiedyś Polsce jakichś nieprzyjemnych historii.

A w ogóle, biorąc pod uwagę wyzwania stojące przed Polską, to byłoby bardziej pożądaną co najmniej dwukrotnie wyższe tempo rozwoju od obecnego i to przez 15-20 najbliższych lat. Polski „cud gospodarczy” ma ponadto płytkie rezerwy, jest zbyt uzależniony od koniunktury na rynkach obcych, w Niemczech głównie. Jest on ponadto niemal zupełnie pozbawiony „podkładki wysokiej technologii”, która jest najlepszą gwarancją długookresowego rozwoju gospodarczego. Niby istnieją nadzieje, że technologia taka napłynie wraz z obcym kapitałem, ale mogą to być złudne nadzieje. Jeśli nawet jakieś jej odpryski napłyną, to nie zrobi to przysłowiowego święta. Prof. Grzegorz Kołodko, „car gospodarczy” w Polsce, za bardzo wierzy w nieprzerwany i szybko rosnący napływ kapitału obcego do Polski. Na jego miejscu nie byłbym wcale tego pewny, a nawet liczyłbym się z jego ucieczką z Polski i to w niespodziewanym momencie. Przyspieszony i prawidłowy rozwój gospodarczy nie musi wcale polegać tylko na napływie kapitału obcego. Japonia poradziła sobie bez takiego napływu, a w znacznym stopniu jest to też prawdą w przypadku Tajwanu i Korei Południowej. Z punktu widzenia społecznego natomiast, nadal zbyt wysokie jest bezrobocie, choć w 1996 r. zmniejszyło się ono dość znacznie, zbyt wysoka inflacja, w dodatku z możliwością raczej jej wzrostu niż spadku, jak też nadal zbyt wysokie obciążenie

budżetu wydatkami nieprodukcyjnymi. Problemem samym w sobie są również ciągle duża i rosnąca obsługa zadłużenia zagranicznego, zła struktura towarowa eksportu, za duża importochłonność gospodarki, zawężająca się własna baza postępu naukowo-technicznego, wysoce skomplikowany problem górnictwa węglowego, kolejnictwa i coraz bardziej narastający problem sieci drogowej dla ruchu kołowego. Do tego dochodzi przestarzała struktura rolna, tragedia w budownictwie mieszkaniowym, nabrzmiały problem ochrony środowiska naturalnego, jak też takie dziwolągi jak szybko rosnący park samochodowy, przy wspomnianym przed chwilą braku odpowiednich dróg.

- Czyli nie wyklucza Pan, że w pewnym momencie sytuacja gospodarczo-społeczna w kraju może znów stać się powodem do masowego protestu?

- Nie, nie wykluczam, choć z drugiej strony, pomijając polityczne reperkusje takiego protestu, nie wiem co mógłby on poprawić w funkcjonowaniu gospodarki krajowej. Dawniej protesty takie też w końcu nic nie rozwiązywały, a dziś sprawa wygląda jeszcze gorzej. Co najwyżej kapitał obcy zacznie Polskę omijać, gospodarka poniesie olbrzymie straty w produkcji i handlu zagranicznym, a różne doraźne rozwiązania pod przymusem tylko osłabią ją jeszcze bardziej.

Panie Stanisławie, polska gospodarka w kończącym się dwudziestym stuleciu zmusza do smutnych refleksji. Produkcja pod obcymi zaborami, jakąkolwiek by ona nie była, osiągnęła jakiś przyzwoity poziom. Ale przyszła I wojna światowa, powstania dzielnicowe, walki polsko-ukraińskie, wojna polsko-bolszewicka, zniszczenia, a potem jeszcze Wielki Kryzys. Rezultat tego był taki, że w 1938 r. produkcja była niższa od tej w 1913 r., choć Polsce przybyło w międzyczasie prawie osiem milionów ludzi. Potem przyszła II wojna światowa i tragiczne jej skutki. Gdyby nie „ziemie odzyskane” i zmniejszona ilość mieszkańców Polski, to nie wiem kiedy, przy znanych wojennych „błędach i wypaczeniach” rozwojowych, doszłaby ona do poziomu produkcji z 1938 r.

W PRL, ze względu na zbrojenia, „zimną wojnę” oraz wspomniane „błędy i wypaczenia”, rozwój gospodarczy poszedł znacznie gorzej, niż można było się tego spodziewać. W 1957 r. nawet cofnął się nieco, a potem był nierównomierny i w znacznym stopniu na kredyt. W 1979 r. wystąpił spadek produkcji, pogłębiony potem wydarzeniami „Lata 80” i „stanem wojennym”. Ledwie pod koniec lat 1980-ch powrócono do poziomu produkcji z 1978 r., a już zaczęła się „terapia szokowa” i nowy jej spadek, który odrabia się dopiero teraz.

W każdym razie, marnie poszło Polsce z rozwojem

gospodarczym w tym stuleciu i trudno to będzie odrobić w następnym. W najlepszym wypadku trzeba na to co najmniej jednego pokolenia. A jeśli jeszcze przyjdzie nowy „kryzys naftowy”, rzecz wielce prawdopodobna, jak też inne perturbacje w gospodarce światowej, to rozwój gospodarki polskiej może w ogóle ulec zahamowaniu, jeśli nie cofnięciu się.

- Czy nie sądzi Pan jednak, że nastąpił koniec różnych kłopotów rozwojowych gospodarki polskiej i światowej? Słyszy się przecież optymistyczne głosy, że teraz wszystko już będzie dobrze. Gospodarka światowa globalizuje się, kapitału nie brakuje, a postęp naukowo-techniczny trwa, pokonując coraz to nowe bariery rozwoju.

- Nie wierzę w żadne końce różnych zjawisk, które towarzyszą ludzkości, choć mogą one zmieniać swoje formy i częstotliwość występowania. Jak długo będzie istnieć ludzkość, tak długo będzie towarzyszył jej proces rozwoju, a jak długo będzie istniał ten proces, tak długo będzie on miał swoje wzloty i upadki.

Stąd też nie ma żadnej pewności, że dłuższe okresy zastoju, czy nawet spadku produkcji, jak to miało miejsce w Polsce, przeszły już bezpowrotnie do historii.

W ogóle zaś, to obok optymistycznych głosów co do perspektyw dalszego rozwoju w świecie, pełno jest też głosów pesymistycznych. Dziś trudno powiedzieć, które z tych głosów są bliższe prawdy.

- Jaki więc wniosek ogólny płynie stąd dla przyszłości Polski?

- Wnioseków płynie wiele, ale co najmniej dwa zasługują na szczególną uwagę.

Pierwszym jest wniosek, że sytuacja zewnętrzna, najczęściej od Polski niezależna, wywiera wpływ decydujący na jej egzystencję.

Drugim jest to, że nic w Polsce nie da się szybko zrobić. Można co prawda bardzo szybko zdecydować się na takie czy inne przemiany, ale na ich pełne wyniki trzeba bardzo długo czekać. Częściowe skutki przemian mogą przyjść co prawda szybko, ale na ich podstawie nie należy jeszcze wyciągać ostatecznych wniosków. Pierwsze wrażenia mogą być bowiem mylące.

- Czy z tego mam rozumieć, że nawet w przypadku odsunięcia lewicy od władzy nie przewiduje Pan żadnych godnych uwagi przemian, które popchną kraj do przodu?

- Nawet jeśli popchną, to nie tak zaraz. Może być też i tak, że kraj nawet chwilowo cofnie się. Prawica bowiem jest „antyeuropejska”, uważana też za antysemicką, klerykalną,

prochłopską i miejscami także ... faszystowską. Taką opinię już wyrobiono polskiej prawicy w świecie, a to może pociągnąć za sobą określone skutki w razie jej wyborczego zwycięstwa. Nie jest na przykład wykluczone, że kapitał obcy zacząłby wtedy uciekać z Polski, a międzynarodowa finansjera mogłaby operacjami spekulacyjnymi przeciwko złotemu polskiemu spowodować załamanie jego kursu i może nawet zawieszenie jego wymiwalności. Tym samym Polska zostałaby efektywnie odcięta od świata zewnętrznego, a w każdym razie jej kontakt z nim byłby wtedy bardzo utrudniony, ze szkodą dla rozwoju gospodarczo-społecznego. Polski nie stać bowiem na żadną autarkię gospodarczą.

Co więcej, część prawicy polskiej jest otwarciem pro-rosyjska, z czego mogą wynikać dodatkowe konsekwencje, które łatwo sobie wyobrazić.

I jeszcze jedna i bardzo istotna sprawa, której nie można nie wspomnieć.

Otóż ostatnio SdRP została przyjęta do Międzynarodówki Socjalistycznej, w której partie socjalistyczne i socjaldemokratyczne Europy Zachodniej odgrywają wiodącą rolę. Polska prawica z kolei, międzynarodowo jest izolowana. Jej zwycięstwo będzie więc źle przyjęte w Europie Zachodniej, nawet tam, gdzie lewica nie jest u władzy. Myślę też, że byłoby ono źle przyjęte w USA, gdzie partia demokratyczna ma sporo sympatii lewicowych, a koła żydowskie, o silnych wpływach w Administracji i Kongresie, przyjmą takie zwycięstwo jak najgorzej.

- A co Moskwa? Czy jej jest wszystko jedno kto w Polsce rządzi?

- Nie, nie jest. Tak długo jednak, jak długo będą to „jej” ludzie, niekoniecznie nawet powiązani agenturalnie, ale posłuszni wobec niej, to wszystko będzie w porządku. Mogą być z lewicy, prawicy, czy centrum. Chyba, że Moskwa ostatecznie zdecyduje się jaki ustrój sama faworyzuje u siebie w kraju i w reszcie WNP. Narazie udaje demokrację i gospodarkę rynkową, a w Polsce SLD też tak udaje, choć mniej niż w Rosji. Stąd wydaje się, że SLD jest Moskwie bliższa, choćby nawet z względu na peerelowskie tradycje „przyjaźni polsko-radzieckiej”, którą łatwo zamienić w autentyczną przyjaźń polsko-rosyjską.

- Czyli prawica polska znalazła się w bardzo trudnym położeniu?

- Myślę, że tak. Oczywiście, Zachód będzie honorował werdykt wyborczy, ale jeśli Moskwa wystąpiłaby przeciwko zwycięskiej polskiej prawicy, choć akurat może tego nie zrobić, to położenie jej będzie jeszcze trudniejsze. Na pomoc, a nawet zrozumienie ze strony Zachodu, nie może ona wtedy liczyć.

Zresztą, w warunkach polskich, jak o tym świadczy „sprawa Oleksego”, choć nie tylko, nie należy wykluczać jakichś dramatycznych wydarzeń, które wszystkie nasze obecne przewidywania postawią na głowie.

- Nasza rozmowa zbliża się do końca. Nigdy nie powinno mówić się „nigdy”, ale możliwe, że już IV części naszych rozmów nie będzie.

Jak zatem Pan widzi przyszłość Polski?

- Proszę Pana, co prawda staram się zawsze unikać mieszania polskich spraw narodowo-państwowych z osobistymi, ale skoro Pan pyta o przyszłość Polski, to w tym przypadku muszę uczynić wyjątek. Przyszłość Polski oceniam po najbliższej przeszłości i teraźniejszości. Dla mnie osobiście Polska nie zmieniła się, nadal pozostając PRL. PRL nie potępiam w czambuł, o czym mówiliśmy już w przeszłości. Mogła być bowiem jeszcze gorsza niż była.

Z drugiej strony jednakże, nie mogę powiedzieć, a znałem ją od przysłowiowej podszewki, że PRL była normalnym Państwem Polskim, w którym Naród Polski żył jak u siebie w domu.

Państwo to podobno już zniknęło, o czym mówiliśmy także w naszych rozmowach sprzed lat. Teraz jest już niby państwo całkowicie niepodległe, suwerenne i demokratyczne. W moim konkretnym przypadku — bynajmniej tego nie odczuwam. Przeciwnie, odnoszę nawet wrażenie, że jest ono bardziej perfidne, niż perelowskie państwo. Tamto przynajmniej nie udawało, że jest czymś innym, a obecne udaje.

Jeśli tak, to jaki jest tego ostateczny cel, a ponadto co to za państwo, które tak potrafi kamuflować swój prawdziwy wizerunek i charakter? Gdzie i kiedy objawi się ono w całej swojej krasie?

A propos, w kraju popularne są ostatnio poglądy głoszone przez prof. Marię Szyszkowską.

Otóż pani Profesor twierdzi, że mimo demokratycznych przemian w Polsce pozostaje ona nadal krajem „ukrytego totalitaryzmu”, gdzie zakres wolności indywidualnej nie tylko nie zwiększył się, ale nawet zmniejszył.

W ogóle zaś, to Szyszkowska odmalowuje bardzo czarny obraz społeczeństwa polskiego. Mówi o „filozoficznej próżni” w narodzie, hołdowaniu „falszywym idiom”, „falszywej hierarchii wartości”, a nade wszystko o „braku cywilnej odwagi” w społeczeństwie i szczególnym zagrożeniu, jakie niesie ze sobą „kultura konsumpcyjna”. Twierdzi też, że większość Polaków łatwo przystosowuje się do świata dla „czerpania z niego korzyści”.

Tak czy inaczej, nie jest to zachęcający obraz sytuacji do snucia optymistycznych prognoz polskich na przyszłość. Skoro bowiem jest tak źle, to skąd raptem ma być dobrze?

Co gorsza, jak wykazują badania opinii publicznej w Polsce, wyłączając szczególny przypadek Jana Pawła II, nikt ze współcześnie żyjących Polaków nie jest popularny, albo już jeśli jako tako, to niemal natychmiast ma on przeciwnie dwukrotnie więcej przeciwników niż sympatyków. Prawdziwi bohaterowie są już tylko wśród nieżyjących, z Józefem Piłsudskim na czele, ale i on jest nim tylko u jednej trzeciej Polaków.

Ankiety, chciałem to podkreślić, przeprowadzono w okresie ostatnich wyborów prezydenckich w Polsce. I proszę sobie wyobrazić, panie Stanisławie, że tylko 3,6 procent ankietowanych uważało Aleksandra Kwaśniewskiego za powód do dumy, podczas gdy 7,6 procent za powód do wstydu! Co więcej, zmagał się on w tym czasie z Lechem Wałęsą o urząd prezydencki, którego z kolei 23,6 procent ankietowanych uważało za powód do dumy, ale aż 51 procent za powód do wstydu! Nikt z Polaków tak wysokiej „lokaty wstydu” nie miał w całej historii polskiej!

No i spośród takich oto dwóch Polacy mieli wybierać, no i wybrali, swojego prezydenta... Przecież to obłęd!

Jak można w takiej sytuacji budować lepszą Polskę?

- Tak, zgadzam się z Panem, że dezorientacja w narodzie osiągnęła niepokojący stopień.

Jakimś środkiem zaradczym powinno być podnoszenie wiedzy Polaków o nich samych, o Polsce i jej sąsiadach.

W związku z tym mam pytanie. Nie wiem czy Pan czytał niedawno opublikowaną w kraju książkę Henryka Pajaka i Stanisława Żochowskiego „Rządy zbirów 1940-1990”, w której nawet jest wzmianka o Panu.

Czy tego rodzaju książki są pomocne Polakom w zdobywaniu wiedzy na tematy żywotnie ważne dla nich?

- Książkę oczywiście czytałem. Pomijając już jej dziwny tytuł, gdyż „rządy zbirów” ani w Polsce nie zaczęły się w 1940 r., jak twierdzą to autorzy, ani też nie skończyły w 1990 r., nie mówiąc o podejrzanym sposobie sprzedaży książki metodą wysyłkową. Prawda jest w niej pomieszana z nieprawdą, typowa operacja dezinformacyjna, „deza”, używając języka służb specjalnych b. bloku sowieckiego.

A co do wzmianki na mój temat, to na str. 294 podano, że byłem członkiem DiP, Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, podejrzanego gremium „dysydentów partyjnych”.

które powstało w listopadzie 1978 r. w Warszawie. O tej sprawie mówiliśmy już w naszych rozmowach przed trzema laty.

W każdym razie, w DiP nie byłem, mimo że polskojęzyczne radiowe audycje podały, iż byłem.

Ale nie to jest najważniejsze. Autorzy „Zbirów” piszą dalej, cytuję dosłownie, że: „po zwycięstwie „Solidarności”, Magdalenkach i Okrągłym Stole, „dipowcy” robią kariery zapierające dech w piersiach szaraków”. Dla zilustrowania tego stwierdzenia przytaczają różne nazwiska, a w tym także i ...moje! Jasno stoi bowiem napisane, że po wydarzeniach 1989 r. wysłano mnie na ambasadora do Japonii!

Oczom własnym nie wierzyłem, kiedy to przeczytałem. Ostatni raz byłem w Polsce 3 lipca 1981 r., przybывая na krótko z Japonii, gdzie byłem ambasadorem PRL, w 1981 r., a nie po 1989 r.! W czasach, kiedy były rzekome zwycięstwa „Solidarności”, Magdalenki i Okrągłe Stoły — byłem przecież w USA, a nie w Polsce! W Polsce ciążył na mnie wtedy jeszcze zaoczny wyrok śmierci!

Autorzy „Rządów zbirów” wiedzą jednak lepiej i podają mnie jako człowieka, który w tym czasie akurat robił w Polsce karierę „zapierającą dech w piersiach szaraków”!

Obrzydlive, po prostu ohydne...

- Czy sądzi Pan, że tego rodzaju dezinformacja moskiewskich i „postpeerelowskich” służb tajnych sięga również poza kraj, do ośrodków polonijnych?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, choć co prawda wywiad wojskowy PRL ośrodkami emigracyjno-polonijnymi niemal nie interesował się, gdyż była to domena wywiadu MSW. Niemniej jednak z konkretnymi przykładami takiej penetracji tych środowisk zetknąłem się bezpośrednio w dalszej przeszłości, ale to już historia i nie ma o czym mówić...

- A niby dlaczego?

- Proszę Pana, to już przeszłość, wielu z tych ludzi już nie żyje, a niektórzy z nich powrócili nawet do Polski po wydarzeniach 1989 r. I otoczeni są nimbem sławy emigracyjnych działaczy... A w ogóle, to nie jestem żadną władzą kontrwywiadowczo-śledczą ani w tym kraju, ani gdzie indziej na świecie i nie do mnie należą tego rodzaju sprawy. Donosicielem nigdy w życiu nie byłem i nie będę.

- Przejdźmy zatem do kilku ostatnich już refleksji.

Przed trzema laty nie widział Pan przyszłości ludzkości w różowych kolorach, możliwości nowej wojny światowej nie wyłączając.

Czy nadal widzi Pan przyszłość w podobny sposób?

- Człowiek nie umie czytać przyszłości, a ja nie jestem

tutaj żadnym wyjątkiem.

Niemniej jednak już dziś są „zadatki” na różnego rodzaju kłopoty w przyszłości. O wszystkich nie ma sensu mówić, gdyż jest ich po prostu za dużo. Skoro jednak wspominał Pan o możliwości nowej wojny światowej, to jedną z nich może być, choć wcale nie musi, rozwój sytuacji po 2003-cim roku.

Konkretnie mówiąc, USA w 2003 r. mają zamiar, jeśli w międzyczasie go nie zmienią, wycofać się z porozumienia antyrakietowego ABM, które zawarły z ZSRR jeszcze w 1972 r. W ciągu następnych trzech lat po 2003 r., USA zamierzają w rezultacie tego zbudować obronę antyrakietową. Moskwa natomiast grozi, że coś takiego może być powodem do konfliktu zbrojnego pomiędzy obu supermocarstwami wojskowymi.

Nie jest też wykluczone, że powód dla konfliktu znajdzie się wcześniej. O tych sprawach wspominam nawet częściowo w książce „Co dalej” w kontekście rozszerzania NATO na wschód. Jest jeszcze Bliski Wschód i parę innych potencjalnych powodów dla konfliktu zbrojnego.

- Wierzy Pan zatem w powody, które mogą do niego doprowadzić?

- W stu procentach nie wierzę w nic, ale w tym wypadku bardziej wierzę, niż nie wierzę.

- Pomówmy jeszcze na zakończenie o Pańskich dalszych planach życiowych.

Przed laty mówił Pan o napisaniu książki. Czy już ją Pan napisał?

- Napisałem, wspomnianą przed chwilą książkę pod tytułem „Co dalej?”, która chyba będzie wydana tuż przed opublikowaniem Części III naszych rozmów. Wydaje ją chica-gowski „CHEMIGRAPH”.

- Ostatnio przestał Pan pisać do pism polonijnych. Dlaczego?

- Istotnie, może nie tak przestałem, jak ograniczyłem częstotliwość pokazywania się na łamach tych pism. Powodem tego było m. in. pisanie wspomnianej przed chwilą książki, podobnie jak nasze rozmowy.

Inna przyczyna to fakt, że nie jestem przecież żadnym dziennikarzem czy komentatorem, a w ciągu ostatnich lat „wypisałem się” dość sporo. W czasie piętnastoletniego pobytu w USA opublikowałem niemal 1.100 pozycji, z książkami włącznie, z tego połowę w języku polskim. Licząc z 200-oma pozycjami w kraju, jest to chyba nie tak mało.

A co do pisania, to nadal piszę regularnie do jednego z tygodników amerykańskich, powrócę też na łamy prasy polonijnej, choć rzadziej będę tam pisał niż dawniej. Chcę bowiem

znów napisać jakąś nową książkę...

- **Na jaki temat i pod jakim tytułem?**

- O tytule jeszcze za wcześnie mówić. Pomysły mam różne, a co z tego wyjdzie — sam nie jestem pewien.

- **A więc, podobnie jak przed trzema laty, mając za pasem rok 1997-ty, życzę Panu i Rodzinie wszelkiej pomyślności!**

- Serdecznie dziękuję i ja również życzę Panu, Zespołowi „Panoramy” i „WICI” — Wszystkiego Najlepszego w Nowym Roku!